

Fragment utworu w przekładzie

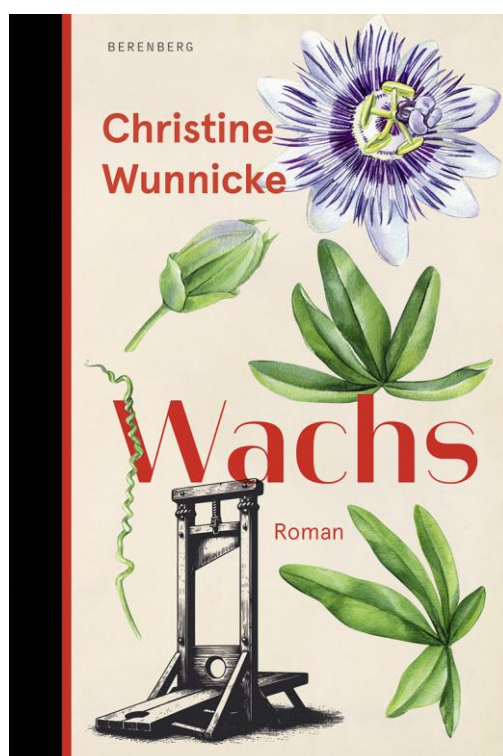
Christine Wunnicke
Wachs

Berenberg Verlag, Berlin 2025
ISBN 978-3-911-32703-9

pp. 7-21

Christine Wunnicke
Wosk

Przekład: Katarzyna Łakomik



KRĄŻĄ SŁUCHY

Pewnego listopadowego wieczoru roku 1733, długo po zapadnięciu zmierzchu, drobna postać brnęła przez rozmokłą łąkę dzielącą rue des Filles Angloises i koszary Czarnych Muszkieterów. Po paru dniach nieustannego deszczu cała okolica zamieniła się w trzęsawisko. Buty wędrowczyni grzęzły w błocie, a zbyt długa peleryna plątała się między nogami, hacząc o zbite grudy ziemi. Mimo to postać nieugięcie parła przed siebie, zmierzając w prostej linii do tylnej bramy koszar, wychodzącej na dziedziniec stajenny. Niosła latarenkę, ale miała ją tylko nieznacznie uchyloną, ledwie mogła dostrzec, gdzie stawia kroki. Bez przerwy, w jednostajnym tonie, jakby licząc kroki, wypowiadała słowa modlitwy: „O Panie! Udziel memu sercu prawdziwej pokuty, podaruj moim oczom źródło łez, bym mogła nieustannie opłakiwać swój grzech”. Wciąż od nowa.

W powietrzu unosiła się woń koni. Ziemia była tu bardziej ubita, a w oddali tliło się słabe światło. Zawahała się krótko, wzięła głęboki oddech i zgasiła latarenkę. Zaciśnęła usta, by powstrzymać się przed wypowiedaniem modlitwy, i po chwili już była przed murem, a zaraz potem – przed bramą. Była to wielka brama, przez którą z łatwością przeszłyby i dwa konie, z mniejszymi drzwiami pośrodku. Postać wysupłała spod peleryny prawą dłoń. Z największą ostrożnością, jakby chciała zbadać coś wrażliwego, wyciągnęła palec wskazujący w czarnej rękawicze i dotknęła drewna. Ustąpiło. Drzwiczki w bramie w rzeczy samej nie były zamknięte. Nic nie stało więc na przeszkodzie, by nieznajoma wkroczyła na dziedziniec Czarnych Muszkieterów. Przemknęła cicho wzdłuż stajni, minęła olbrzymią stertę końskiego łajna – która mieściła się w nieprzepisowym miejscu – i sunęła dalej wzdłuż oznakowanej ujeżdżalni ćwiczebnej, mijając studnię, parę szlabanów dla koni, warsztat rymarza i kwaterę rusznikarza, aż dotarła do centrum koszar, skąd prowadziło przejście do głównego budynku i dziedzińca przedniego.

Tu jednak brama nie chciała ustąpić pod dotknięciem palca. Postać już zamierzała chwycić klamkę, gdy w środku coś zaczęło piszczeć. Były to żalosne piski; wysokie, nosowe zawodzenie, przerywane dyszeniem, raz po raz urywane i podnoszone z jeszcze większą żarliwością. Postać zamarła w bezruchu, nasłuchując. Nie potrafiła rozpoznać, cóż to za żalosne dźwięki dobiegają nocą z izby muszkieterów – zakładała bowiem, że to ich kwatery kryją się za bramą. Odgłosy te nie brzmiały jednak wystarczająco groźnie, by ją skłonić do zawrócenia. Postać wstrzymała oddech, nacisnęła klamkę i już była w głównym budynku.

Popiskiwanie dochodziły z prawej strony. Były tam drzwi, a obok nich znajdowało się okienko, za którym tliło się światło. Drzwi były uchylone. Postać przemknęła przez nie. Jedne

schody za nimi prowadziły w górę, drugie w dół, a wokół zalegały różne utensylia: narzędzia ogrodowe, taczka, rozmaite przyrządy prawdopodobnie służące do oporządzania koni, a także para ubłoconych trzewików. Piski dobywały się z podziemi. Postać zaczęła powoli schodzić po stopniach i po chwili dotarła do piwnicy z niskim sklepieniem. Stał tam jakiś człowiek; oświetlony płomieniem ogarka łojowego, odwrócony do niej plecami i tak pochłonięty swoim zajęciem, że jej nie zauważył.

Był to wysoki, zwalisty kadet w koszuli z podwiniętymi rękawami, który ćwiczył grę na oboju. Robił to w tym miejscu każdej nocy. Nie grał dobrze i nie robił postępów. Ten sam spektakl desperacji rozgrywał się tutaj wciąż od nowa. Kadet pochodził z Normandii, za którą bardzo tęsknił. Rzępolił tak koszmarnie, że co rusz zbierał za to drwiny i kary. Dlatego też próbował po kryjomu ćwiczyć, by móc kiedyś wszystkich zadziwić swoimi postępami. Które jednakowoż nie następowały, a więc wciąż nikogo nie zadziwiał. Jeden z jego przodków grał onegdaj w królewskiej gwardii na oboju – czy też na jakimś innym instrumencie z tamtych czasów – a więc on jako jego potomek również miał się zająć graniem.

Kiedyś był wesołym chłopcem. Na oklep, jak dziki zbój, galopował wokół zamku, w którym jego rodzina żyła bez szczególnego dostatku. Czasem gwizdywał na żdźbłach trawy. Służki go lubiły, a ptaki mu śpiewały. A potem ojciec kupił mu wszystko, czego potrzebuje Czarny Muszkieter: karego rumaka, mundur, szpadę oraz niestety także obój. Jego palce były za grube, a usta nie dość wydatne. Taktowano go źle. Nadawano mu złośliwe wyzwiska i kazano wykonywać najpodlejsze prace. Kadet najchętniej wyruszyłby na wojnę i na niej poległ. Ale musiał ćwiczyć gamę. Od bitych dwóch godzin. Składała się z pięciu tonów i każdy z nich fałszował. A im bardziej nadymał policzki, tym bardziej fałszywe dźwięki mu wychodziły. Kadet próbował właśnie dodać szósty, o wiele za wysoki, przypominający miauczenie kociego siłą odrywanego od matki.

– Proszę wybaczyć to najście – zaszczębiotał głosik za jego plecami.

Wystraszony kadet poderwał się i odwrócił do tyłu. Rozdziawił usta. Całe powietrze, które miało trafić do oboju, uleciało z sykiem. Za jego plecami stał ponury karzeł. Nie miał ani twarzy, ani nóg. Jego sylwetka w kształcie trójkąta, czarna jak najciemniejsza noc, zastygła w bezruchu w cieniu, u stóp schodów. W swojej drobnej czarnej dłoni trzymał zgaszoną latarenkę, jak obraz przemijania z obrazów.

– O Boże! – wyrwało się kadetowi. Potem wyrwało mu się przekleństwo. Potem dodał:
– Odejdź!

– Szczerze ubolewam z powodu swojego wtargnięcia podczas pańskiej gry, ale uniżenie pana proszę, aby mnie pan nie odsyłał.

Karzeł miał wysoki głosik. Zsunął z głowy kaptur, spod którego wyłoniła się głowa dziecka, dziewczynki, bladej, mogącej mieć niewiele więcej niż dwanaście lat. Pod kapturem miała ciasno przylegający czarny czepek, spod którego z lewej strony wydostał się jeden jasny kosmyk i sterczał teraz do boku niczym owadzi czulek.

– Uprzejmie proszę o możliwość porozmawiania z kimś kompetentnym – rzekła dziewczynka, a jej głos stał się bardziej stanowczy – w pewnej bardzo ważnej sprawie. Z tego też powodu weszłam tu przez tylną bramę, żeby mnie nie odesłano z powrotem przy głównej.
– Spojrzała z pewnym zaciekawieniem oraz, jak się zdało kadetowi, z niejakim obrzydzeniem, na obój w jego rękach. – Nie wydaje mi się, by był pan osobą kompetentną – dodała, po czym grzecznie dygnęła i spuściła głowę. – Życzę panu spokojnego wieczoru i z góry dziękuję za pomoc!

– Ja cię tu nie wpuściłem! – wykrzyknął kadet.

– Wiem. I każdemu tak właśnie powiem. Nie ponosi pan winy. Zechciałby mnie pan zaprowadzić do osoby kompetentnej... do kogoś, kto orientuje się w sprawach tego... – Zawahała się przez chwilę, szukając właściwego słowa, po czym dodała niepewnym tonem: – ...przedsięwzięcia?

– Nie! – krzyknął kadet.

– Byłabym trochę cichsza.

– *Pardon?*

– Na pana miejscu nie zachowywałabym się tak głośno. Żeby nie zbudzić wszystkich w budynku.

W głowie oboisty formował się właśnie taki oto obrazek: kadet Czarnych Muszkietierów sprowadza nocą do podziemi głównego budynku dziewczynę i zostaje na tym przyłapany.

– Wpakowałam pana w kłopotliwą sytuację – stwierdziła dziewczynka. W jej głosie nie było jednak śladu skruchy. Zdjęła pelerynę i przewiesiła ją sobie starannie przez przedramię. – I jeszcze naniosłam panu do środka błota.

Miała na sobie skromną szarą suknię z wełny, na niej ciemny fartuch, a na szyi staroświecki biały kołnierzyk. Kadetowi trudno było określić jej status społeczny. Czyżby była zbiegłą nowicjuską? Zrzuciła welon podczas ucieczki z klasztoru, zostawiając na głowie jedynie czepek? Czy takie właśnie czepki nosi się tam pod welonem? Jaki los czeka kadeta, który nocą wdaje się w piwnicy w rozmowę z zakonnicami?

– Idziemy? – zapytała dziewczynka.

– Ale dokąd?! – zapytał kadet, ponownie zbyt donośnym głosem.

– Niestety nie jestem w stanie panu tego powiedzieć – odparła, tym razem z nutą współczucia w głosie. – Bo nie wiem, jak zorganizowany jest wasz oddział. Macie tu medyka garnizonowego? Sekretarza? Skarbnika? Może osobę od składów bądź od nieczystości? Albo księdza? Najlepiej byłoby chyba porozmawiać z generalnym marszałkiem, jeśli mógłby go pan obudzić.

– Z kim?

– Z kapitanem? Majorem generałem? Nie wiem, jak nazywacie taką osobę. Mam na myśli dowódcę. – Dziewczynka się uśmiechnęła.

Kadet wbił w nią wzrok. Czuł się, jakby jej blada postać nagle uległa przemianie. Jej uśmiech był niewinny, ciepły, z nutą ironii; najbardziej uroczy uśmiech na świecie.

– Mamy tu tylko felczera od koni – wydukał. – Jest pani chora? Mogę panią zaprowadzić do miasta.

– Nie, dziękuję. Wystarczy, jeśli zaprowadzi mnie pan do kogoś nieco starszego od siebie.

Oboista narzucił na siebie surdut i przeczesał włosy palcami. Podczas zmagania z obojem nastroszyły się we wszystkie strony. Rozebrał instrument na części, po czym powkładał je po kolei do futerału.

Następnie obwieścił donośnym głosem:

– Idziemy!

I sam ledwo mógł w to uwierzyć.

Zaprowadził dziewczynkę na pierwsze piętro. Tam zaczął krzyczeć:

– Prowadzę tu dziecko! Potrzebuje pomocy! Znalazłem je! Nie wiem, czyje jest!

Uznał, że krzyk będzie najstosowniejszym sposobem, by nikomu nie przyszło do głowy, że mógłby coś ukrywać.

– Dziecko! – wydierał się dalej. – Pomocy! Nie wiem! Pomocy!

Ktoś zaklął za jednymi z wielu par drzwi. Kadet zaczął biec, więc dziewczynka pobiegła razem z nim. To były ogromne koszary. A korytarz był długi. Prowadził do sali bilardowej. Kadet pchnął drzwi i wpadł do środka. Dziewczynka zaraz za nim.

W środku siedziało pięciu mężczyzn. Rozłożyli się wygodnie na fotelach i popijali w milczeniu piwo. Trzech z nich paliło fajki. Jeden bawił się kijem bilardowym. Kadet rozpoznał dwóch oficerów. Nie byli najuprzejmiejsi, ale nie byli też z tych najgorszych. Rzadko kiedy tak się cieszył na widok oficerów.

– Bardzo proszę! – zawołał, jakby ktoś zamówił dziewczynkę, a on ją właśnie dostarczył. Potem dodał cicho: – Niech panowie będą dla niej mili.

– Co? – zapytał jeden z oficerów.

– Dobry wieczór – powiedziała dziewczynka.

Kadet stojący tuż za nią zaczął wymachiwać rękami, próbując ją popchnąć w stronę fotela, nie dotykając jej przy tym. Wydawało mu się, że damy powinny siedzieć, że nie powinny cały czas stać. Jeden z palących przezwiał go w brzydki sposób, wiążąc głupotę z Normandią. Drugi z oficerów powtórzył pytanie pierwszego:

– Co?

Dziewczynka zrobiła krok do przodu.

– Jestem córką aptekarza Biherona, pokój jego duszy, z rue Saint-Paul, tuż za bramą miasta – przedstawiła się. – Przepraszam, że składam panom wizytę o tak niestosownej porze, a zarazem uniżenie dziękuję, że mimo to raczyli mnie panowie przyjąć. Czy mogę zadać pytanie, które może się wydać dość osobliwe, zwłaszcza jeśli nie zadam je osobie kompetentnej? – zwróciła się do starszego oficera, wbijając w niego wzrok, niemal z groźbą.

– Niechże sobie panna siądzie! – zawołał kadet.

Pozostali mężczyźni nie byli w stanie wydukać nic więcej ponad jedno słowo:

– Co?

Nie byli też całkiem trzeźwi.

Dziewczynka dygnęła, po czym wręczyła kadetowi swoją ubłoconą pelerynę i usiadła. Zostawiła na dywanie ślady błota. Kadet przystanął za jej plecami z peleryną w ręku niczym lokaj.

– Znam aptekę Biheronów – rzucił jeden z muszkieterów.

Oczy dziewczynki pozostały utkwione w starszym oficerze. Ten wstał. Zmarszczył brwi i stanął nad nią bez słowa. Dziewczynka odchyliła głowę do tyłu, przełknęła ślinę i zaczęła mówić:

– Chciałabym zakupić zwłoki, jeśli miałby pan dla mnie takowe. Pieniądze mam przy sobie, mogę zapłacić od razu, o ile cena nie będzie zbyt wygórowana. Matka moja wyraziła na to zgodę. Oraz, jeśli byłoby to możliwe i przystępne w kosztach, chciałabym się zgłosić na subskrypcję, przez całą jesień i zimę i cały czas do momentu, aż się ociepli. Pierwszy egzemplarz mogłabym odebrać już jutro. Gdyby było dostępnych więcej, wolałabym ciało kobiety albo dziecka, bo, jak pan widzi, sama jestem dziewczynką, ale nie będę wybredna. Musiałby mi pan wyjaśnić, jakich formalności należy dopełnić, w szczególności dotyczących pochówku, kto za co uiszcza należności i w jakim stanie muszę je zwrócić, gdy już skończę, bo tego, niestety, nie wiem.

W sali bilardowej zapadło ciężkie milczenie. Podczas tej przemowy mężczyźni po kolei podnosili się z miejsc, zatrzymując się w przyzwoitej odległości wokół fotela, na którym siedziała dziewczynka. Jedynie kadet usunął się w głąb sali.

– Po wszystkim będą wyglądać jak wcześniej, przysięgam – dodała panienka Biheron.
– Niczego nie zabiorę, wszystko powkładam z powrotem na swoje miejsca, w celach pogrzebu i zmartwychwstania ciał.

Starszy oficer musiał beknać. Zaciśnął usta, próbując je stłumić, a jednak wszyscy je usłyszeli. Potem powtórzył, jakby nie znając żadnego innego słowa:

– Co?

– Chce kupić zwłoki – wyjaśnił muszkietier, ten sam, który znał aptekę Biheronów.

– Subskrypcja? – wydukał muszkietier z kijem do bilardu.

– Panienka chce czego? – spytał młodszy oficer.

– Ciała kogoś zmarłego – odparła panienka Biheron – do celów anatomii. Przecież na pewno nie ja pierwsza zadałam to pytanie. Zazwyczaj robili to zapewne profesorowie z uniwersytetu. Mój młody wiek może panów dziwić, ale...

– Panienka pierwsza zadała to pytanie! – krzyknął starszy oficer.

– To dziecko chciałoby dostać zwłoki na anatomię – objaśnił muszkietier, który czasami kupował w tej aptece lek na żołądek.

Odkąd zmarł mąż pani Biheron, ona sama prowadziła interesy. Aptekarka Biheron była kobietą nieuprzejmą, a jej mikstura – zbyt droga.

– Zwłoki kupuje się w wojsku – stwierdziła dziewczyna.

– Że co?! – wrzasnął starszy oficer.

– A skąd niby mamy mieć zwłoki? – zdziwił się młodszy oficer.

– No nie wiem. Z wojny?

– Nie mamy teraz żadnej wojny – stwierdził ten z kijem.

– Żołnierzy poległych w wojnie chowa się z największymi honorami! – zawołał z tyłu sali kadet.

– No nie wiem – powtórzyła córka aptekarza. – W Paryżu krążą słuchy, że można dostać zwłoki w wojsku. A ja nie znam miejsca, gdzie byłoby tylu wojskowych co tutaj. Można czasem spotkać żołnierzy w mieście, są zakwaterowani w prywatnych domach, ale trudno byłoby mi ich zagadywać i wypytywać na ulicy, jeśli akurat nie są na służbie. A w koszarach zapewne nie mogą trzymać niczego, czego nie da się łatwo przechować. Pomyślałam więc, że najlepiej będzie po prostu tu przyjść. Te koszary są naprawdę ogromne i imponujące, a ja mieszkam niedaleko stąd. Dlatego postanowiłam zapytać właśnie tutaj. Proszę, niech mnie panowie nie

odsyłają z kwitkiem. Moja starsza siostra przywdziała niedawno welon zakonny. Ja również chciałabym się do czegoś przydać. Mam do tego dar. Opanowałam już całą wiedzę z ksiąg. Mogą mnie panowie sprawdzić, jeżeli chcą to potwierdzić. Brałam udział w sekcji, a nawet przy niej trochę pomagałam. Jestem uczennicą, ale nie początkującą. Potrzeba mi jednak praktyki. Same księgi nie wystarczą, żeby wszystko zrozumieć. A czas nagli. Zima przeleci jak z bicia trzasnął, a wiosną będzie za ciepło.

– Do czego się przydać? – spytał jeden z palących, którego fajka właśnie zgasała.

– Do pomagania rodzinie i na chwałę Boga.

– Boga – powtórzył młodszy oficer przejętym głosem. Cofnął się o krok. Pozostali zrobili to samo. Starszy oficer, z którego panienka Biheron nie spuszczała wzroku, odsunął się najdalej.

– Krążą takie słuchy – powtórzyła z zaciętością.

– Aptekarka z rue Saint-Paul przysłała do nas córkę po parę trupów – wyjaśnił ten, który lubił innym wszystko wyjaśniać. – Ale wciąż nie wiemy, po co, i zaczyna nas to niepokoić.

– Ja się nie boję! – wykrzyknął kadet z tyłu sali.

Nagle z dziedzińca dał się słyszeć jakiś hałas. Kadet stojący najbliżej okna podbiegł do niego. Zaraz potem wszyscy inni również podbiegli do okna, tylko dziewczynka nie ruszyła się z miejsca. Jeden z koni uciekł ze stajni i szalał na dziedzińcu. Galopował w koło, o mało nie wpadając na mury, wciąż biegał w koło, z coraz większym przerażeniem. Wyrwany ze snu stajenny zaczął go gonić, wymachując rękami, co jeszcze bardziej płoszyło zwierzę. Koń wspiął się na tylne nogi i wygiął szyję. Przeszywające, nieskończenie długie rzenie wdarło się przez okna na górne piętro budynku.

– Być może padłam też ofiarą jakiegoś nieporozumienia – wyszeptała panienka Biheron, ale nikt jej nie usłyszał.

– W końcu go złapie – stwierdził starszy oficer. Zanotował sobie w pamięci twarz stajennego i odszedł od okna. Pozostali również odeszli od okna. Kadet przeżegnał się ukradkiem. Zauważył przy tym, że na jego ręce nie ma peleryny. Dziewczynka zniknęła, razem ze swoim okryciem. Ściągnęła je z jego ramienia tak zręcznie, że nawet tego nie poczuł.

Wszyscy wbili wzrok w pusty fotel. Potem rzucili się do korytarza, lecz tam jej również nie było. Pobiegli do samych schodów, ale jej nie znaleźli. Schwywanie dziewczynki i rozmówienie się z nią nagle stało się dla muszkietierów sprawą najwyższej wagi. Zbudzili swoją bieraniną całe koszary. Ale dziewczynki nigdzie nie było.

Marie Biheron dawno już dotarła do rue de Charenton. Przemknęła niczym cień obok wartowni koszarowej. Nawet w obcych budynkach, jak twierdziła, potrafiła z łatwością odnaleźć drogę. Miała to we krwi – potrafiła w mig zestawiać elementy i łączyć je ze sobą w całość, z czego czerpała wielką radość. W dzieciństwie przybierało to czasem dość kuriozalne formy – rozbierała na części wszystko, co wpadło jej w ręce, na przykład utensylia aptekarskie, wpadając przy tym w pewien rodzaj uniesienia, i broniła się z furią, gdy ktoś próbował jej odebrać na wpół rozebrane przedmioty albo chciał je poskładać samemu. Z głową panienki Biheron działo się coś zgoła osobliwego.

A teraz stała pośrodku tej ciemnej nocy i walczyła ze łzami. Wszystko było takie straszne i takie nowe. Nigdy jeszcze nie wychodziła sama nocą z domu. Nigdy, ani jednego razu, nie zapuściła się za bramy Paryża. A teraz maszerowała na ślepo w kierunku porte Saint-Antoine. Pomyślała sobie, że gdyby teraz ktoś ją schwytał, jak tak tutaj szła, pewnie zaciągnąłby ją do jakiegoś straszego miejsca, do którego zaprowadza się zbiegłe dziewczęta, żeby je tam przesłuchiwać i torturować. Za trzy dni miała skończyć czternaście lat. Zamierzała do tego momentu zdobyć zwłoki, lecz teraz ten cel zdawał się odległy niczym księżyc, a resztki nadziei rozsypały się w proch. Wciąż nie mogła uwierzyć w konsternację muszkieterów. Pomyślała sobie, że może powinna do nich wysłać jakiegoś mężczyznę, a kostnica otworzyłaby się przed nią. W myślach przesuwiała korowód mężczyzn ze swojego otoczenia, rozważając, który z nich byłby do tej misji najstosowniejszy. Przyszli jej do głowy: piekarz, chłopiec z sąsiedztwa – niestety dopiero jedenastoletni – oraz jej brat. Który poszedł w siną dal i nikt nie wiedział, gdzie się podziewa.

Dziewczynka dotarła wreszcie do murów miasta. Bastylia nocą wyglądała tak makabrycznie, że trudno znaleźć odpowiednie słowa. Marie wiedziała jednak, że i w niej potrafiłaby odnaleźć drogę, gdyby zaszła taka konieczność. Zastanawiała się, czy zbiegłe dziewczęta trafiają do Bastylii, i denerwowała się, że nie zna odpowiedzi. Uznała, że każda panienka potrzebuje paru lekcji, by się dowiedzieć, jak sobie radzić w życiu i nie zginąć. Wielu rzeczy można się nauczyć samej, ale często brakuje wiedzy na temat faktów.

Przy porte Saint-Antoine ktoś ją zatrzymał. Na to też nie była przygotowana. Żołnierz? Poborca? Zbój? Jak rozpoznać, kim jest osoba, która kogoś zaczepia przy bramie do miasta?

– Jestem córką aptekarza Biherona z rue Saint-Paul, pokój jego duszy – wyrzuciła z siebie, zanim mężczyzna zdążył powiedzieć więcej niż „Stój!”. – Zgubiłam latarenkę, spieszę się, boję się i muszę natychmiast wrócić do domu.

Przepuścił ją. I nagle ogarnęło ją poczucie, że Bastylia ją chroni. Marie pomyślała sobie, że nikt ani nic jej nie zagrozi, póki chroni ją ten budynek, ten potężny gmach z potężnymi

wieżami. Gdy się przymruży oczy, można by go uznać za kościół. Za dnia, a szczególnie nocą. Można by nawet pomyśleć, że mieszka tam sam Bóg. Bóg, jak pomyślała Marie, nie potrzebuje w swoim domu okien, gdyż niezbadana jest Jego wola. Rozczarowana dziewczynka poczuła euforię niemającą nic wspólnego z Bogiem. Noc, świat, Paryż – wszystko to należało do niej. A skoro czas potrafi leczyć rany, to prędzej czy później, jeśli tylko będzie wytrwale obstawać przy swoim, znajdzie się i trup.

Panienka Biheron minęła kościół Wizytek, potem Jezuitów – i już była w domu. Otworzyła drzwi wykradniętym kluczem, odłożyła go na miejsce, zdjęła buty i cichcem przemknęła do swojego pokoju na górze. Wsunęła brudną pelerynę pod łóżko i uklękła przed nim; najpierw złożyła Bogu dziękczynienie za swe wybawienie, potem odmówiła modlitwę błagalną – z odrobiną pretensji – a na końcu wyrecytowała z pamięci dłuższy ustęp z pism świętego Augustyna. Na wpół przysypiając, wsunęła się do łóżka. Śniło jej się, że werbuje różnych mężczyzn: piekarza, chłopca z sąsiedztwa i tuzin muszkietierów, następnie wręcza im łopaty i każe rozkopywać ziemię wokół Bastylji, by sprawdzić, co się pod nią kryje. Obudziła się zdziwiona, a potem aż do samego rana spała już bez snów.